

Lacrimosa

Jo często żałowała, że zdecydowała się przenieść do tej firmy. Chwaliła sobie pewność zatrudnienia, nienajgorszą pensję, miłych kolegów w dziale. Podrywali ją, choć już przekroczyła trzydziestkę, ale bez natarczywości. W końcu była ich kumpelą. Ale na tym kończyły się zalety.

Kilkanaście lat temu, gdy Jo po szkole średniej odbywała staż, zaczęła pracować w księgowości ministerstwa. Czasy były takie, że księgowych brakowało, w ministerstwie zatrudniali więc nieraz i osoby bez wyższego wykształcenia. Jo zawsze uważała się za równą wszystkim innym ludziom na całej Ziemi i innych planetach (jeśliby istniało tam życie oczywiście), ale w ministerstwie musiała swoje przekonania zrewidować. Stało się to, kiedy w pierwszym dniu pracy koleżanki z obraźliwym ociąganiem pokazały jej, gdzie mieści się toaleta, a później, nie znając jej przecież, demonstrowały niechęć i pogardę. Jo, przyzwyczajona zawsze do mówienia prosto z mostu tego, co myśli, spytała o powody tej dyskryminacji. Wówczas kierowniczką działu ujęła ją za rękaw i zaciągnęła na korytarz, przed drzwi ich pokoju, zamknęła je i pokazała palcem tabliczkę z nazwiskami i funkcjami pracujących w sali osób. Lista liczyła kilkanaście nazwisk wydrukowanych na kartce umieszczonej pod szkłem. Wówczas Jo zobaczyła, czym jej nazwisko różni się od innych: przed nim ziała goła pustka. Wszystkie inne miały przynajmniej mgr przed nazwiskiem.

Teraz, po latach, Jo także była magistrem i nie zamierzała pozwalać na jakąkolwiek dyskryminację. Pierwszy rok pracowało jej się nieźle, wyrobiono sobie o niej dobrą opinię, czuła satysfakcję z pracy, robiono jej perspektywy awansu. Nikt nie negował jej fachowości, ba, szefostwo przychylnie patrzyło na podnoszenie umiejętności. Mogła kupować potrzebne książki i prenumerować

fachowe wydawnictwa. Niestety, firma zmieniła właściciela i w ślad za tym kierownictwo. Nowy prezes wprowadził nieopisany chaos, a zamierzenia jego, co do przyszłej reorganizacji pozostawały tajemnicą. Z tego chaosu jeszcze nie zaczynał się wyłaniać zarys nowego porządku, ale Jo czuła przez skórę, że nie będzie to porządek dla niej przychylny. Wszystko zaczynało trochę przypominać porządki zaobserwowane na pewnej wycieczce w latach szkolnych po Związku Radzieckim. Tam na pewnym statku, pływającym z turystami po Morzu Czarnym, zaobserwowała, że każdy pracownik, poddany bezwzględnie rozkazom kapitana, może być użyty do wykonywania prac zupełnie nie z jego zakresu obowiązków, ba, często poniżających, tylko dla pokazania mu, jakim jest śmieciem. I tak na przykład lekarz na statku w chwilach wolnych od praktyki musiał polerować mosiężne balustradki, a nawet zmywać ubikacje, zaś ładne dziewczyny z bufetu, na zmianę lub razem, zabawiać kapitana w czasie, gdy uznał za stosowne je zawołać, do czasu kiedy każą im zmywać pokład podartą szmatą. Na podobne zaczęło się zanosić i w ich firmie, choć ten nowy porządek miał, zdaniem Prezesa, wywodzić się z anglosaskiej tradycji dobrej i wydajnej pracy.

Uświadomiła to Jo pewna konferencja, zwołana już za nowej prezesury. Przygotowywała na nią materiały i miała mieć swoje wystąpienie, ponieważ problematyka, którą się zajmowała, była jedną z najważniejszych w działalności firmy. Większość uczestników znała; byli to dyrektorzy oddziałów terenowych, z częścią z nich służbowe kontakty były ścisłe i bardzo częste. Usiadła z paroma osobami w pierwszym rzędzie rozmawiając w oczekiwaniu na początek. Sala powoli wypełniała się, aż wreszcie wkroczył prezes. Podchodził kolejno do siedzących w rzędzie mężczyzn i podawał im rękę, omijając kobiety, a wśród nich i Jo. Wydawało jej się to zabawne, widziała już ten styl, męski, mocny uścisk dłoni i słabe kiwnięcie głową paniom. Doszedłszy do końca rzędu, prezes zawahał się. Jo czuła przez skórę, jak uświadomił sobie popełniony błąd. Zawrócił, podał rękę paniom, znowu omijając Jo. Musiał sądzić, że z

pracownikami biura nie ma obowiązku się witać. Nie obeszło jej to zbytnio, cóż z niejednym burakiem miała do czynienia. Później dopiero zrozumiała, że to drobne z pozoru wydarzenie zapoczątkowało wszystko, co zdarzyło się później, zdeterminowało jej los na całe lata naprzód.

W przerwie obrad prezes konferował z kimś, ale ponieważ wciął sekretarkę, zawołał Jo, która właśnie sprawdzała swoje materiały do wystąpienia i polecił jej pozmywać brudne filiżanki. Pełna taca nie chciała się zmieścić w wąskich drzwiach kuchenki, Jo denerwowała się myśląc raczej o tabelce z danymi statystycznymi, która gdzieś się zapodziała, niż o zmywaniu. Gdyby taca była nieco mniejsza, gdyby sekretarka ustawiła naczynia na innej tacy, gdyby...

Zaczęto zwoływać zebranych na dalszy ciąg i Jo nie wiedziała, co ma robić. Za jej plecami przechodził właśnie prezes, więc spytała go, czy przesunie jej wystąpienie na później, czy może komu innemu poleci zmywać. Ale prezes machnął lekceważąco ręką i oświadczył:

- Eee... to nic ważnego. Pani da swoje notatki Adamowi, on coś tam zebranych naopowiada...

Adam był pracownikiem podległym Jo, niedawno zatrudnionym zresztą, więc dziewczyna wypaliła:

- Może niech lepiej Adam pozmywa?

- Skądże – oburzył się prezes. – Adam jest mężczyzną, nie wypada, żeby zmywał gary. Jo, koteczku, co też pani przyszło do głowy! – Zawsze tak mówił kobietom, po imieniu, często zdrobnionym, wstawiając kotka, słonko, maleńka i złotko, nonszalancko dodając „pani”, jako że niby oddaje im, swoim podwładnym, należny szacunek.

To był przypadek, wyłącznie przypadek. Albo przeznaczenie. Zdenerwowana Jo, manewrując tacą, przechyliła ją zbyt mocno i cała sterta filiżanek posypała się na ziemię. Prezes z wyrazem niemego oburzenia odwrócił się posyłając Jo spojrzenie należne najgorszemu mordercy. Nigdy nikt by nie

uwierzył, że to przypadek. Ale Jo wiedziała, że to Los za nią podjął decyzję. Jakaś siła wyższa postanowiła pokazać jej, że pokorą nic nie zwojuje, że taka droga jest błędem. I dlatego Jo, nie tłumacząc się, trzasnęła tacą z resztą filiżanek i spodeczków o podłogę, odepchnęła prezesa stojącego jak wryty pośrodku korytarza, wzięła ze swojego pokoju torebkę i płaszcz i spokojnie zeszła po schodach sypiąc po drodze luźnymi kartkami swoich notatek.

*

Ludzie, którzy zerwali się z pracy, obojętnie z jakiej, słusznej lub nagannej moralnie przyczyny (a z pozycji pracodawcy każda przyczyna jest naganna), powinni być przygotowani na to, że natychmiast zostaną ukarani. Nie zawsze, ale często.

Jo właśnie wchodząc do domu została tak doświadczona. Stojąc w progu, zobaczyła swojego męża, leżącego na wersalce w skotłowanej pościeli, której nie chciało mu się widać starannie posłać, z dziewczyną, o której wyglądzie Jo nic nie mogłaby powiedzieć poza tym, że na ramieniu miała tatuaż przedstawiający alraunę w kolorze zielonym i różowym. Zobaczywszy Jo, dziewczyna bezceremonialnie wyjęła jego maćka ze swojej pochwy, narzuciła na gołe ciało luźną sukienkę, wpychając skotłowaną bieliznę do torebki i w biegu podnosząc z podłogi pantofle, wyparowała w mieszkania. Dobrze, że tak się zachowała – pomyślała głupio Jo – mogła prosić, żebym jej zrobiła herbatę. I miałabym problem. A potem dodatkowe zmywanie.

– Nie przejmuj się – litował się nad Jo jej mąż – to nikt ważny. Ot taka zdzira.

Jo bez słowa poszła do kuchni. Miała dużo pracy. Wieczorem spodziewali się z mężem przyjaciół, gości dość rzadkich, odkąd przyjaciel ze studiów stał się biznesmenem, a jego firma natrętnie dawała się ludziom we znaki, głupimi reklamami przerywając najciekawsze momenty filmów. Trzeba było przygotować parę dań, wystarczająco wymyślnych dla takich ludzi, jednocześnie nietuczających, ekologicznych i modnych. Niby wegetariańskich, ale

z mięsem. Śródziemnomorskich, ale z nutą meksykańską. Wystarczające wyzwanie dla kobiety, która tego dnia wywołała skandal i zapewne utraciła pracę, a także zastała męża na swojej wersalce z podobno nieistotną dziewczyną. Jednak dziewczyna miała na ramieniu tatuaż mandragory, tak bardzo przypominającej zblakłego buraka i ten fakt jakoś nie mógł wyjść z myśli Jo. Usiłowała przypomnieć sobie, co wie o egregorach, ale przychodząca na myśl jedyna definicja, jako zbiorowości zniewalającej jej członków, wydawała jej się szczątkowa i niepełna. Wróciła więc do przybierania wymyślnej sałatki, prokurując buraka kształtem przypominającego mandragorę zamiast należącego do zwykłej tradycji, muchomora z jajka i połówki pomidora, nakrapianego majonezem.

*

Jo podała już wszystko do stołu, nawet to, co było w piekarniku i mogła zająć się rozmową z gośćmi. Zwróciła uwagę na żonę przyjaciela męża. Źle wyglądała, poruszała się sztywno i włosy jej były po prostu tłuste i brudne, a oczy podsiniałe. Wyraźnie brakowało jej życia, mimo modnej sukienki i drogiej biżuterii. Oczywiście nie spytałaby jej o to, gdyby rozmowa nie zesłała na temat kobiet i kosmetyków. Znajomy męża skarżył się na żonę, że zbyt wiele wydaje pieniędzy na kosmetyki i rozmaite fiu bǫdziu i w związku z tym musiał jej zabrać kartę kredytową. Mąż Jo wyraził uznanie przyjacielowi, że wcześniej pomyślał o przeprowadzeniu rozdzielności majątkowej z żoną, sam jednak zaznaczył, że w jego przypadku nie ma to najmniejszego sensu, bo u nich, to Jo pracuje i zarabia, a on robi doktorat.

– Wszystko pod kontrolą, wszystko pod kontrolą – oświadczył mając zapewne na myśli, że jego przemyślane decyzje są w danym momencie najbardziej racjonalne. Reklamy telewizyjne, zdaniem Jo, zawsze oddawały emocje małych człowieczków i obnażały ich płaskość i wredność. Na wzór i podobieństwo.

Jo udała, że nie słyszy i zwróciła się jak najbardziej konwencjonalnie do kobiety. Miała dość własnych zmartwień, żeby przejmować się cudzymi:

– A jak pani zdrowie?

Jakby nie wiedziała, o co spytać. Tamta zaczęła się żalić, że wysiada jej kręgosłup i że miała zamówionych kilka zabiegów u kręgarza, podobno znakomitego, ale gdy miało już dojść do ich finalizacji, mąż zabrał jej kartę.

– Och, ona jak nie szminki i ciuchy, to chodzi do wrózek i kręgarzy albo innych naciągaczy. A już szczytem wszystkiego jest, że adoptuje, tak się to modnie ostatnio nazywa, jakieś parszywe psy. Wyobraźcie sobie, że dorwała się do komputera syna i weszła na taką stronę, gdzie twierdzili, że mają sposób na wszystkie życiowe zmartwienia. Trzeba gromadzić podobno dobrą energię, a najlepiej przez dobre uczynki. Podobno jest takie niedofinansowane schronisko dla psów i wystarczy przekazać im datek, powtarzając jednocześnie w myśli, że chciałoby się osiągnąć to i to, i dobra energia zgromadzona w ciałach tych bezdomnych psów, może zdziałać cuda. Płynie po prostu jak strumień forsy! Takie placebo dla starzejących się panius, które nie wiedzą, co robić z mężowską kasą. Bo nie z własną, o nie! Przed wojną podobno dawano na głodujące sieroty, małych biednych Murzynków, teraz wszystko schodzi na psy, więc dają na psy. Adoptują je, hehe. Niestety, moja paniusia nie ma własnych dochodów, nie zarabia, pieści się, narzeka, że choruje na kręgosłup, ale lekarze nic takiego nie stwierdzili. Z nudów tak jęczy, mówię wam. Kupiłem jej saunę z masażem i specjalne łóżko na kręgosłup, nie macie pojęcia ile to kosztowało, majątek cały i nic. A ona jeszcze myśli, że forsa rodzi się na drzewach i wspomaga jakieś parszywe psy...

Mąż narzekał, a Jo po cichutku wyszła na balkon. Mieszkali na pierwszym piętrze, nad ruchliwą ulicą i chodnikiem. Późnym popołudniem stały tu sznury samochodów, ponieważ na innej, równoległej trasie, budowano już trzeci rok wiadukt. Od czasu do czasu zdenerwowani kierowcy trąbili. Na chodniku parkowały samochody, w jednym z nich włączył się właśnie alarm.

Wył i wył, głośno i bez powodu. Słowa przyjaciela męża o psach, kręgarzach, wrózkach, kosmetykach i karcie kredytowej, przeplatały się w umyśle Jo z piosenką z pobliskiego baru piwnego i muzyką z czyjegoś samochodowego radia.

Lacrimosa – melodia nie z tego świata, nie z tej rzeczywistości. Nie mająca nic wspólnego z piwnym barem. Jo pamiętała płytę. Na jej okładce dziewczyna w długiej białej sukni wchodziła w otwarte drzwi, za których rzeźbioną ozdobnie futryną widniała światłość. I dla kontrastu, inna dziewczyna, z innej płyty, nastawionej przez barowych gości, pytała męża, czemu zabił jej brata. Na to mąż zaśpiewał:

Cicho żono, deszczyk pada

Ja nie słyszę, co kto gada,

Cicho żono, deszczyk rosi

Ja nie słyszę, co kto prosi...¹

Jo z wysokości balkonu widziała chodnik z mrowiem ludzi, ze światłami samochodów, odbitymi w jezdni i podjęła decyzję. To nie było jej miejsce. Jej drzwi nie były ozdobne i były ciemne jak noc. Jej też mogliby zagrać Lacrimosę na trąbce nad grobem. Te dwie piosenki były rozpięte, jak skrzydła nietoperza nad życiem każdej kobiety. Cicho żono, deszczyk pada...

Jo kiedyś, jeszcze w szkole trenowała gimnastykę. Wiedziała, że wytrwa nawet godzinę. Ją też bolał kręgosłup, więc może należy odliczyć z piętnaście minut na ten ból, który w końcu ją pokona. Jej chłodny i w tej chwili analitycznie nastawiony umysł, pragnął odgadnąć, kiedy mąż i jego przyjaciel, biznesmen, zorientują się, że jej nie ma. I zaczną jej szukać. Chociaż Jo nie było już od dawna. Możliwe, że jej słońce zapaliło się i zgasło w chwili, gdy w pracy ostatnia brudna filiżanka z tacy uderzyła o ziemię.

Weszła na poręcz balkonu i zawiesiła się na rękach po drugiej jego stronie. Potem, stopniowo, przesuwając spocone ręce po kowalskich

¹ Orkiestra Św. Mikołaja „Ballada o Henryku Zbójniku”

wygibasach, które kiedyś innej dziewczynie wydawały się szczytem piękna, opuściła się tak, żeby zawisnąć uczepiona betonowego podestu balkonu. Żałowała, że nie pomyślała o posypaniu dłoni mąką kartoflaną albo jakimś pudrem. Cóż, w przeciwieństwie do żony biznesmena nie miała w domu nadmiaru kosmetyków. Lacrimosę ktoś puścił kolejny raz, a na chodnik wyszedł właściciel samochodu, którego popsuty alarm denerwował wszystkich mieszkańców... I to on spojrzał w górę, nie wiadomo czemu. Prosto w oczy Jo.

*

Strażacy rozsunęli drabinę i zdjęli Jo z balkonu, ale widząc, że słabo kontaktuje, udali się do mieszkania, gdzie dwóch panów w najlepsze dyskutowało przy drogim alkoholu, a obecna w pokoju kobieta bliska była płaczu. Żadne z nich nie miało pojęcia, że Jo jest gdzieś indziej, a nie w kłopot na przykład. Po Jo przyjechała karetka, zanim jednak przekazano ją załodze, dziewczyna siedziała w szoferce strażackiego wozu wpatrując się w rozmyte światła jadących samochodów, odbite w metalowej, wypolerowanej płycie. Któryś ze strażaków przyniósł jej zgubiony pantofel, ale nie założyła go na nogę tylko odruchowo schowała do kieszeni zakietu. W powietrzu narastała wilgoć i wkrótce zaczął siąpić drobny deszczyk. Odbite światła coraz bardziej rozmazywały się. Jo sądziła, że jeśli trafią po drodze na specjalnie usytuowaną względem wozu strażackiego kałużę, światła mogą zastąpić szkło powiększające i rozważania te tak ją zajęły, że dopiero za którymś razem zareagowała na słowa męża, podsuwającego jej do podpisania upoważnienie do odbioru w firmie jej pensji. Pewnie pójdzie na zwolnienie, za co więc zapłacą rachunki, jak nie podpisze? Tak rozumował mąż i było to słuszne, i ze wszech miar właściwe, że myślał za nią o wszystkim.

Obu melodii można posłuchać:

https://www.youtube.com/watch?v=Yud_ZWdUMus&index=38&list=PLXHEDQ7T7wYEzt95j8jw_nggqYK9FrIv

https://www.youtube.com/watch?v=yY2Er_M2Tt4